

Instytut Pamięci Narodowej - Katowice

<https://katowice.ipn.gov.pl/pl3/aktualnosci/167888,Operacja-Lawina.html>
03.09.2024, 11:25

Operacja „Lawina”

Niezwyczajnie skuteczną bronią w walce z podziemiem zbrojnym w drugiej połowie 1946 r. okazała się prowokacja, której ofiarą padli najaktywniejsi partyzanci ze zgrupowania „Bartka”. Podstawowe metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa, wykorzystywane w działaniach prowadzonych przeciwko oddziałom dowodzonym przez Flamego od wiosny 1945 r. do połowy 1946 r., okazywały się dość bezowocne. Partyzanci świetnie znali teren, mieli skuteczny wywiad, byli dobrze dowodzeni i czuli wsparcie mieszkańców, dzięki czemu mogli sprawnie i długo prowadzić walkę i jednocześnie unikać starć z wielokrotnie silniejszymi grupami operacyjnymi KBW-MO-UB. Likwidacja zgrupowania nastąpiła dopiero w efekcie specjalnej akcji, w żargonie władz bezpieczeństwa nazywanej „kombinacją operacyjną”, którą UB zaczął prowadzić jesienią 1945 r. na szczęblu sztabu Okręgu Śląskiego NSZ. Kluczową rolę w rozpracowaniu środowiska narodowego odegrał wielokrotnie wspominany już Kazimierz Zaborski, czyli „major Łamigłowa” (występujący też jako „major Górny”), którego działania doprowadziły w końcu do tego, że funkcjonariusze bezpieki dotarli bezpośrednio do dowództwa zgrupowania. W lutym 1946 r. ten niezwykle skuteczny i groźny agent UB nawiązał kontakt z kolejną grupą działaczy narodowych z Górnego Śląska i Krakowa. Był wśród nich m.in. Wojciech Grocholski, student geologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Skontaktował on „Łamigłowę” – nie wiedząc oczywiście, że uczestniczy w prowokacji przygotowanej przez władze



Szczątki żołnierzy Zgrupowania NSZ Henryka Flamego „Bartka”, pochowane w miejscu egzekucji w pobliżu Starego Grodkowa, fot. Krzysztof Liszka

bezpieczeństwa – z Franciszkiem Wąsem „Warmińskim”, oficerem Okręgu Krakowskiego NSZ, który – przypomnijmy – znał osobiście „Bartka” i jego łącznika Jana Kwiczalę „Emila”. Prawdopodobnie w drugiej połowie maja 1946 r. do Wąsa, za pośrednictwem „majora Łamigłowy”, zgłosił się kolejny funkcjonariusz UB – Henryk Wendrowski. Podał się on za „przedstawiciela Okręgu NSZ” pod pseudonimem „kapitan Lawina”, który szuka kontaktu ze zgrupowaniem „Bartka”. Ten był żołnierz AK z Okręgu Białostockiego, który w 1944 r. zdradził swych towarzyszy i rozpoczął współpracę z NKWD, a następnie pracę w UB, do szeroko zakrojonej gry operacyjnej organów bezpieczeństwa na Górnym Śląsku został prawdopodobnie włączony już jesienią 1945 r.

Przypuszczalnie w połowie kwietnia 1946 r. Wendrowski rozpoczął działania operacyjne w Gliwicach, gdzie podając się za organizatora pracy konspiracyjnej z ramienia sztabu NSZ, wprowadzony został w miejscowe środowiska opozycyjne. Jako „kapitan Lawina” werbował do podziemia nowych członków i współpracował z ludźmi już wcześniej zaangażowanymi w konspirację antykomunistyczną, tym razem namawiając ich do wstępowania do Śląskich Sił Zbrojnych, a więc prowokacyjnej organizacji, w pełni kontrolowanej przez komunistyczne służby. Wendrowski przebywał głównie w Gliwicach, ale uczestniczył też w różnych spotkaniach, m.in. we Wrocławiu (gdzie skontaktował się z „Warmińskim”), w Poznaniu, Koźlu i Rybniku. Dla uwiarygodnienia swoich działań polecił np. dokonać kradzieży amunicji i telefonów z gliwickiego portu. W sierpniu 1946 r. uczestniczył w przygotowaniu likwidacji ośmioosobowej grupy żołnierzy z oddziału



Szczątki żołnierzy Zgrupowania NSZ Henryka Flamego „Bartka”, pochowane w miejscu egzekucji w pobliżu Starego Grodkowa, fot. Krzysztof Liszka

Józefa Zadzińskiego „Wołyniaka” z Rzeszowszczyzny. Miesiąc wcześniej jako „kapitan Lawina z Centrali” nawiązał kontakt z członkami tego ugrupowania i rozkazał im, by wyjechali na Ziemię Zachodnie. W rzeczywistości była to kolejna prowokacja, którą przygotował razem z kierownictwem katowickiego WUBP. Likwidacja grupy nastąpiła 5 sierpnia 1946 r. w okolicach Nysy w jednym z majątków administrowanych przez katowicką bezpiekę, gdzie rzekomo miał być zorganizowany nocleg przed dalszą drogą do Wrocławia. Partyzanci zostali tam przywiezieni ok. północy. Po kolacji zakrapianej wódką umieszczono ich po dwóch w osobnych pomieszczeniach. W nocy, ok. godz. 3.00, budynek został otoczony. Do każdego pomieszczenia wkraczali funkcjonariusze UB, rozbrajając zaskoczonych żołnierzy. Jeden ze stawiających opór został zastrzelony na miejscu, drugi natomiast zginął podczas próby ucieczki. Władze bezpieczeństwa zatrzymały wówczas sześć osób. Miesiąc później w podobny sposób, ale na znacznie większą skalę przygotowana została operacja, której ofiarą padli partyzanci z Beskidu Śląskiego i Żywieckiego.

Na początku lipca 1946 r. Urząd Bezpieczeństwa zdobył konkretne informacje, które otwały funkcjonariuszom bezpośrednią drogę do zgrupowania „Bartka”. Kluczowe okazały się pochodzące jeszcze z okresu wojennego kontakty Franciszka Wąsa „Warmińskiego”. W trakcie spotkania, do którego doszło 1 lipca 1946 r. w Gliwicach, przekazał on Wendrowskiemu m.in. aktualne dane dotyczące Jana Kwiczali „Emila”. W ten sposób Kazimierz Zaborski „Łamigłowa” 12 lipca 1945 r. dotarł do przebywającego w Dziedzicach łącznika „Bartka”. W jednym z raportów stwierdził, że Kwiczala „zna doskonale stosunki i wiele osób w tamtejszym terenie. Przy jego pomocy można będzie skontaktować się z wszystkimi wybitniejszymi przywódcami tamtejszej organizacji stałej, jak i band leśnych, a przede wszystkim bandy »Bartka«”. W ocenie Kwiczali oddziały znajdowały się w ciężkim, ale nie beznadziejnym położeniu. Ustalono, że w najbliższym czasie do „Emila” zgłosi się „kapitan Lawina”, czyli Wendrowski, po czym „Łamigłowa” przekazał Flamemu pismo, w którym w imieniu dowództwa NSZ wzywał do zgłoszenia się do „komendanta obszaru [czyli do siebie – przyp. aut.] celem omówienia jego sytuacji, kwestii organizacyjnych i

politycznych". Zgodnie z tymi ustaleniami 15 lipca 1946 r. w Dziedzicach pojawił się „kapitan Lawina” i przekazał „Emilowi” rzekome rozkazy dowództwa okręgu NSZ, które miały być dostarczone „Bartkowi”. Podczas kolejnych spotkań ustalone zostały dalsze szczegóły współpracy partyzantów z „oficerami ze sztabu organizacji”. 28 lipca 1946 r. Flame przekazał informację, że w najbliższym czasie wyśle łącznika, który doprowadzi „kapitana Lawinę” do sztabu zgrupowania. Prowokacyjna operacja Urzędu Bezpieczeństwa weszła więc w decydującą fazę.

„Kapitan Lawina” w obozie „Bartka”

Do pierwszej wizyty Henryka Wendrowskiego w głównym obozowisku zgrupowania na Baraniej Górze doszło niespełna półtora tygodnia później. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami 7 sierpnia 1946 r. funkcjonariusz UB przyjechał do Dziedzic wraz z „Emilem”, gdzie spotkali się w umówionym miejscu z łącznikiem. We trzech dotarli do schroniska na Baraniej Górze, którego gospodarz był informatorem „Bartka” i zajmował się zaopatrzeniem oddziałów. O zmroku wraz z eskortą złożoną z siedmiu partyzantów wyruszyli bezpośrednio do obozowiska. W nocy doszło do pierwszego spotkania podającego się za oficera NSZ funkcjonariusza UB z dowódcą zgrupowania i jego sztabem. Początkowo rozmowa miała dość gwałtowny przebieg, bowiem „Bartek” wystąpił z obszerną listą skarg, żalów i pretensji pod adresem śląskiej organizacji NSZ z powodu dotychczasowego traktowania – jak to określił – „przez nogę jego i jego ludzi”. „Kapitan Lawina” także ostro zareagował na tak nieprzychylnie powitanie. Podkreślił, że przyjechał z konkretnymi instrukcjami ze sztabu i zapowiedział „Bartkowi”, że jeżeli ten nie podporządkuje się rozkazom, jako żołnierz poniesie wszelkie konsekwencje. Dalsze rozmowy zostały przeniesione na następny dzień.

Rankiem 8 sierpnia 1946 r. Wendrowski odbył z „Bartkiem” dłuższą rozmowę, podczas której po raz pierwszy zaproponował przeniesienie zgrupowania rzekomo w rejon Jeleniej Góry. W swych raportach kierowanych do kierownictwa MBP podkreślał, że Flame się wahał, ale ostatecznie przekonało go słowo „rozkaz”. Wstępnie ustalono wówczas kwestie organizacyjne dotyczące przerzutu oddziałów. Dowódca szacował liczbę żołnierzy przeznaczonych do transportów na ok. 180 osób. Pierwotny plan przewidywał, że akcja odbędzie się etapami: najpierw przewieziony zostanie sprzęt, a następnie w kilku grupach ludzie zaopatrzeni w fałszywe dokumenty ze zdjęciami. Na 20 sierpnia zaplanowano koncentrację oddziałów, na którą, jak ustalono, „kapitan Lawina” przybędzie osobiście. Po tych wstępnych uzgodnieniach funkcjonariusz UB polecił rozpoczęcie przygotowań do wyjazdu, sporządzenie szczegółowego raportu dotyczącego liczebności zgrupowania, stanu sprzętu technicznego i amunicji oraz wskazanie wyróżniających się ludzi do awansu (sic!). Wendrowski wydał również rozkaz zaprzestania wszelkich akcji w terenie. „Bartek” zgodził się, ale pod warunkiem, że dowództwo NSZ w związku z coraz trudniejszą sytuacją aprowizacyjną oddziałów wypłaci mu ekwiwalent pieniężny. Pomimo pewnych zastrzeżeń od razu zaakceptował przedstawiony przez „kapitana Lawinę” plan przerzutów. Sytuacja zgrupowania była coraz trudniejsza. Latem 1946 r. partyzanci ograniczali swą działalność, starając się przede wszystkim unikać starć z wielokrotnie liczniejszymi grupami

operacyjnymi UB-KBW-MO. Rozkaz dowództwa „Okręgu NSZ” o przeniesieniu oddziałów na inny teren mimo dużego ryzyka mógł wydawać się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Kluczowe okazało się to, że przez ponad pół roku „Bartek” pozbawiony był kontaktu z jakąkolwiek władzą zwierzchnią. Ostatni rozkaz otrzymał bowiem od przedstawiciela sztabu Jerzego Wojciechowskiego „Oma” na początku 1946 r. Zaniepokojony tą sytuacją, już pod koniec stycznia wysłał jednego ze swych łączników w celu ponownego nawiązania kontaktów, ale zabiegi te nie przyniosły żadnych rezultatów. „Bartek” nic oczywiście nie wiedział o rozbiciu sztabu NSZ. Jego zachowanie podczas spotkania z „kapitanem Lawiną” świadczy o tym, że „przedstawiciel Okręgu” był już od dłuższego czasu wyczekiwany, co naturalnie osłabiło czujność dowództwa zgrupowania w momencie jego przybycia. Według relacji osób z najbliższego otoczenia dowódcy na ostateczną decyzję o przerwaniu zgrupowania duży wpływ miał

Jan Przewoźnik „Ryś”, który stwierdził, że „nie są żadną bandą, muszą się podporządkować rozkazom przełożonych”. Najmniejszych podejrzeń nie wzbudziły również przedstawione przez „kapitana Lawinę” dokumenty.

Wendrowski trafnie ocenił nastroje panujące wśród członków zgrupowania. Niektórzy partyzanci przebywali w górach już kilkanaście miesięcy i byli wyczerpani takim trybem życia. Od jednego z zastępców „Bartka” uzyskał też informacje, że wielu żołnierzy ma pretensje do dowódcy za niewłaściwe traktowanie niektórych osób. Zmniejszenie dyscypliny oraz osłabienie autorytetu Flamego potwierdził również ks. Rudolf Marszałek, ukrywający się przed UB w oddziale od lipca 1946 r. Sytuacja ta niewątpliwie dawała Wendrowskiemu szersze pole działania, ponieważ w przypadku ewentualnego oporu „Bartka” oraz trudności w organizowaniu akcji przerzutowej istniała możliwość wykorzystania niezadowolonej części jego podkomendnych i podjęcia próby odsunięcia go od władzy. Wendrowski brał to pod uwagę, ale już po pierwszej wizycie w obozie stwierdził w raporcie kierowanym do szefów MBP, że plan przerzutu przeprowadzi „bez specjalnych trudności”.

Niespełna tydzień po pierwszej wizycie w obozowisku „kapitan Lawina”, znów za pośrednictwem „Emila”, przekazał dowództwu zgrupowania pismo z kolejnymi instrukcjami, do których dołączył pieniądze i paczkę z lekarstwami. Kwiczala relacjonował potem Wendrowskiemu, że po jego wizycie partyzanci byli w znacznie lepszym nastroju. „Bartek” przedstawił szczegółową listę życzeń, dotyczących m.in. aprowizacji, pieniędzy, lekarstw, które „kapitan Lawina” obiecał spełnić podczas swojej następnej wizyty. Organizowanie zaopatrzenia było więc jeszcze jednym elementem uwiarygodnienia funkcjonariusza UB. W tym samym dniu, tj. 14 sierpnia 1946 r., do Gliwic sprowadzony został ks. Rudolf Marszałek, którego Urząd Bezpieczeństwa użył „kapturowo”, o czym wspominało już na kartach tej książki, w kolejnych etapach swej gry operacyjnej.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami 20 sierpnia 1946 r. Wendrowski po raz drugi dotarł do obozu zgrupowania na Baraniej Górze. Jak stwierdził, z polecenia „Obszaru NSZ” przekazał pieniądze, żywność i papierosy. „Bartek” oczekiwał na niego wraz z

podkomendnymi w uformowanym szeregu, co upewniło funkcjonariusza, że nie jest o nic podejrzewany. Następnie „kapitan Lawina” w blisko dwugodzinym przemówieniu przedstawił sytuację polityczną w kraju, podkreślając konieczność przegrupowania sił. W dalszej kolejności doprecyzowano szczegóły przerzutu zgrupowania. Ustalono, że transporty odbędą się w pierwszym tygodniu września. Dowódcy oddziałów zostali zobowiązani do wytypowania do wyjazdów najlepszych osób, nakazano im też zgromadzić broń, amunicję i inny sprzęt. Sam Flame miał jechać w czwartym, ostatnim transporcie, ale wcześniej przystał na plan Wendrowskiego, że najpierw zatrzyma się w Gliwicach lub Zabrze, by poddać się operacji nogi (został ranny w trakcie jednej z potyczek), i po krótkiej kuracji wróci w góry. 31 sierpnia przekazał komendę swemu zastępcy Józefowi Kołodziejowi „Wichurze”, a następnie wraz z „Emilem” wyjechał podstawionym przez „kapitana Lawinę” samochodem do Zabrze. Jeszcze tego samego dnia znalazł się w Gliwicach w mieszkaniu wynajmowanym przez Wendrowskiego, a nazajutrz zakwaterował się w lokalu w Zabrze. W tym czasie próbował jeszcze dokonać zmian w ustalonym wcześniej planie przerzutów – nalegał, żeby ze względów bezpieczeństwa ograniczyć jednak liczbę wyjeżdżających partyzantów do 120 osób (w dwóch transportach). Dowódca obawiał się, że trwająca kilka dni akcja może zwrócić uwagę miejscowych informatorów UB. Zażądał też, by „kapitan Lawina” dostarczył mu 100 tys. zł na utrzymanie żołnierzy. Wendrowski, po uprzednim porozumieniu się z kierownictwem katowickiego WUBP, zgodził się na warunki finansowe „Bartka”, a jednocześnie definitywnie stwierdził, że w poszczególnych transportach ma być po trzydzieści osób, motywując to „względami czysto konspiracyjnymi”. Nie czując się bezpiecznie w Gliwicach i Zabrze, w połowie września Flame zdecydował się na powrót w góry. W tym czasie trwała już akcja przerzutu zgrupowania – rzekomo na Ziemię Zachodnie.

Transporty donikąd

Pierwsza grupa podkomendnych „Bartka” odjechała na początek września 1946 r. Operacja nie przebiegała jeszcze zbyt sprawnie, ponieważ podstawione ciężarówki wróciły puste. Partyzanci zgromadzeni w mniejszych grupach, prawdopodobnie w kilku miejscach, wycofali się po usłyszeniu jakichś strzałów. Transport przypuszczalnie ruszył 6 września. Znalazło się w nim ok. trzydziestu–czterdziestu żołnierzy NSZ. Najprawdopodobniej dotarli oni do Scharfenbergu – posiadłości ziemskiej położonej w lesie pomiędzy Malerzowicami Wielkimi a przysiółkiem Dworzysko, kilka kilometrów na północny zachód od Łambinowic na Śląsku Opolskim. Tam zakwaterowano ich w pałacyku i poczęstowano posiłkiem oraz wódką ze środkiem odurzającym. Nad ranem teren został otoczony przez prawie czterdziestoosobowy oddział Sowieców i być może podobną liczebnie (lub nieco większą) grupę funkcjonariuszy UB. O świcie nastąpił atak – najpierw zaszytetyowany został strażnik, który przy głównym wejściu pilnował śpiących kolegów, a następnie przez okna wrzucono do pomieszczeń granaty, prawdopodobnie hukowe. Żołnierze „Bartka”, oszołomieni wybuchem i wypitym wcześniej alkoholem ze środkiem odurzającym, zaczęli uciekać, doszło do wymiany ognia, cały teren był jednak dokładnie otoczony i wszystkich złapano. Kazano im się rozebrać i następnie pojedynczo sprowadzano ich nad wykopany nieopodal

dół (lub doły) i tam mordowano każdego strzałem w głowę. Akcję likwidacyjną przeżyło początkowo dwóch (lub trzech) partyzantów – Andrzej Bujok „Jędrak”, który nie pił alkoholu i spał niedaleko klatki schodowej, oraz Władysław Nowotarski „Lotny”. Po usłyszeniu strzałów pobiegli oni na strych, gdzie ukryli się w stercie śmieci (słomy, desek) lub w kominku. Pierwszego dnia po likwidacji grupy z ukrycia wyszedł „Lotny”, został jednak schwytany i zastrzelony. Bujok ocalał, ponieważ siedział w swej kryjówce dwa dni i dopiero po ich upływie udało mu się bezpiecznie opuścić pałacyk. Jak się można domyślać, jakiś czas zajęło mu zorientowanie się, gdzie został wywieziony. Następnie – pieszo, a potem także pociągiem – rozpoczął się jego długi powrót w rodzinne okolice (pochodził z Wisły-Malinki). Trzeci partyzant – pochodzący z Wisły-Malinki Cieślar – miał przeżyć, ponieważ przypadkowo przeszedł przez obstawę (miał podwiniętą koszulę, co wyglądało jak biała opaska, którą założyli oprawcy w celu identyfikacji). Był jednak mocno oszołomiony wybuchem i środkiem odurzającym podanym z alkoholem, dlatego został również szybko zatrzymany i rozstrzelany.

Druga grupa podkomendnych „Bartka”, licząca trzydzieści-pięćdziesiąt osób, wyjechała najprawdopodobniej w dniach 10–15 września 1946 r. Partyzanci przewiezieni zostali na teren poniemieckiego lotniska w Starym Grodkowie, w prostej linii kilkanaście kilometrów na północny zachód od miejsca eksterminacji ich kolegów z pierwszego transportu. Tam zakwaterowano ich w baraku, wcześniej podminowanym, który nad ranem wraz z ludźmi wysadzono w powietrze. Najprawdopodobniej wszyscy zginęli na miejscu. Sprawcy zbrodni zmienili więc sposób działania po likwidacji pierwszej grupy – ucieczka „Lotnego” (choć wówczas jeszcze nie wiedzieli o ocaleniu Bujoka) pokazała im, że w przypadku starcia zbrojnego część partyzantów mogła przeżyć, dlatego też zdecydowano się na wysadzenie całego budynku. Porozrywane ciała zakopane zostały w długim (6 m) i wąskim (1 m) dole o głębokości ok. 1 m oraz w kilku lejach pozostałych po bombardowaniu w okresie wojny.

Trzeci transport, zorganizowany w drugiej połowie września 1946 r., najprawdopodobniej dotarł na leśną polanę nieopodal Barutu, wioski położonej kilkanaście kilometrów na wschód od centrum Strzelec Opolskich. Z relacji mieszkańców tej miejscowości wynika, że 25 września 1946 r. w godzinach wieczornych przyjechało tam kilka samochodów ciężarowych (od trzech do pięciu, być może również mniejsze auta terenowe) przewożących nieustaloną bliżej liczbę osób. Kolumna wolno przejeżdżała przez wioskę, dlatego mieszkańcy przez uchylone plandeki zauważyli ludzi ubranych zarówno w mundury wojskowe, jak i w odzież cywilną. Auta skierowały się do Hubertusa – na polanę przy leśnym dukcie między Dąbrówką a Barutem, w pobliżu położonego nad stawem zameczku myśliwskiego. Tam też pasażerowie ciężarówek zostali zakwaterowani w kamiennym budynku gospodarczym. Następnego dnia wczesnym rankiem, ok. godz. 5.00, okolicą wstrząsnął potężny wybuch, a po detonacji mieszkańcy Barutu usłyszeli strzały z broni maszynowej. Okazało się, że budynek, wcześniej zaminowany, został wraz ze śpiącymi w nim ludźmi wysadzony w powietrze. Miejsce wybuchu zostało otoczone i było strzeżone przez dwa lub trzy dni przez jakichś mundurowych, wśród których, według świadków, byli również żołnierze rozmawiający po rosyjsku. Pozostałe po wybuchu szczątki ludzkie wraz z

resztkami odzieży zostały przypuszczalnie zakopane lub spalone przez wojskowych. Pomimo tego jeszcze kilka tygodni po denotacji okoliczna ludność znajdowała w lesie kawałki ubrań, nadpalone kości, a nawet szczątki ciał. W ten sposób najprawdopodobniej zamordowano kolejną, ok. trzydziesto- lub czterdziestoosobową grupę podkomendnych „Bartka”.

Nie były to bynajmniej wszystkie ofiary tej szeroko zakrojonej prowokacji. Jeszcze przed wyruszeniem transportów, a także w ich trakcie do Gliwic, Zabrza i Chorzowa wysłano kilku członków zgrupowania, którzy zostali oddani „do dyspozycji kapitana Lawiny” i mieli pełnić rolę łączników. Kilkakrotnie pod Baranią Górę przyjeżdżał po nich kolejny funkcjonariusz UB, młodszy referent Wydziału III Departamentu III MBP Czesław Krupowies, który jako rzekomy oficer NSZ „porucznik Korzeń” miał pomagać „kapitanowi Lawinie” w organizowaniu transportów. Wywiezieni zostali wówczas m.in. Józef Kołodziej „Wichura” z żoną Emilią „Milką” i kilka innych osób. Według niektórych relacji „porucznik Korzeń” przeprowadzał tę akcję jeszcze w czasie, gdy „Bartek” przebywał w Zabrze i Gliwicach. Do tego ostatniego miasta wyjechał też pierwszy zastępca „Bartka” Jan Przewoźnik „Rys”, który miał nadzorować prawidłowy przebieg akcji na miejscu, tzn. na Śląsku Opolskim. Najprawdopodobniej dzień po wymordowaniu pierwszej grupy przewieziono go do Scharfenbergu, gdzie miał się spotkać z kolegami, i tam go zastrzelono. Na początku października 1946 r. rozpoczął się kolejny etap likwidacji pozostałości zgrupowania „Bartka”, polegający na zatrzymaniu wspomnianych powyżej osób, nadal przebywających w kilku górnośląskich miastach. Kołodziej został aresztowany 4 października 1946 r. w mieszkaniu w Chorzowie, gdzie udał się z polecenia „kapitana Lawiny” w celu przygotowania mieszkania dla „Sztubaka” (funkcjonariusze UB zamierzali zwabić w pułapkę i tego dowódcę). Jan Kwiczala „Emil”, do którego Wendrowski dotarł na samym początku, wpadł w ręce funkcjonariuszy katowickiego WUBP 19 października 1946 r. w Zabrze. Wobec tych wszystkich osób przeprowadzono postępowanie w trybie doraźnym, które 14 grudnia 1946 r. zakończyło się procesem przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Katowicach na sesji wyjazdowej w Będzinie i orzeczeniem siedmiu wyroków śmierci (sześć wykonano w ostatnim dniu roku, straceni zostali m.in. „Wichura” i „Emil”), a także wieloletnimi karami więzienia.

W trzech transportach zginęło łącznie prawdopodobnie ok. dziewięćdziesięciu podkomendnych „Bartka”, a jeżeli doliczymy do tego zamordowanie Jana Przewoźnika „Rysia” (a być może również innych osób) oraz stracenie kolejnej grupy na mocy wyroku sądu wojskowego, to liczbę ofiar całej prowokacji, nazwanej w opracowaniach historycznych od pseudonimu Wendrowskiego „operacją Lawina”, możemy określić na co najmniej sto osób (choć nie można jednoznacznie wykluczyć, że na Śląsk Opolski wyjechało i zostało tam zamordowanych nieco więcej żołnierzy „Bartka”).

Rozkazowi o przerzucie zgrupowania nie podporządkował się Antoni Biegun „Sztubak”, dowódca zachowujący dużą samodzielność oddziału operującego na Żywiecczyźnie. Podlegał on Flamemu, ale równocześnie utrzymywał odrębne kontakty ze środowiskami konspiracyjnymi w województwie krakowskim i rzeszowskim. Stamtąd też, prawdopodobnie

od wywiadu WiN, otrzymał informacje o przedostaniu się do zgrupowania agentów UB. Starał się powstrzymać „transporty śmierci”, o swych podejrzeniach zawiadomił nawet „Bartka”, oskarżając wprost o dwulicowość „Lawinę” i „Korzenia”, ale niczego nie wskórał. Dla dowódcy zgrupowania decydujące – jak się wydaje – okazały się referencje otrzymane od „Warmińskiego”, jakimi dysponowali rzekomi przedstawiciele okręgu NSZ. Ostatecznie „Sztubak” dwukrotnie odmówił wykonania rozkazu (według jego relacji doszło nawet do tego, że „Bartek” groził rozbrojeniem oddziału), dał podkomendnym wolną rękę, po czym wycofał się ze swoją grupą spod Baraniej Góry w rejon Zawoi. Podczas transportów podjął nawet ze swoimi ludźmi nieudaną próbę ujęcia „Lawiny” i „Korzenia”. Zdarzały się również przypadki, że żołnierze z innych oddziałów rezygnowali bezpośrednio przed wyjazdem i próbowali ostrzec kolegów, ale nieskutecznie.

Sprawcy

Kim byli bezpośredni sprawcy mordu? Kto przygotował transporty i podjął decyzję o zabiciu partyzantów od razu, na miejscach postoju, bez próby ich zatrzymania i aresztowania? W pierwszej fazie operacji decydujące okazały się oczywiście działania Kazimierza Zaborskiego, a następnie przede wszystkim Henryka Wendrowskiego. Nie ulega wątpliwości, że przebieg gry operacyjnej kontrolowało ściśle kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, być może sam szef resortu Stanisław Radkiewicz. Bezpośrednio działania „kapitana Lawiny”, który miał też osobisty udział w przygotowaniu transportów, w Warszawie nadzorowali m.in. płk Józef Czaplicki (właściwie Izidor Kurc), dyrektor Departamentu III MBP, i mjr Stanisław Imiołek (vel Władysław Śliwa), naczelnik Wydziału III w tym departamencie. W Katowicach o rozpracowaniu i planowanych transportach wiedziało prawdopodobnie tylko ściśle kierownictwo WUBP. Ważną rolę w przygotowaniu (i przebiegu?) likwidacji odegrał kpt. Marek Fink (Finkienberg), zastępca szefa WUBP w Katowicach, który przypuszczalnie nadzorował stronę organizacyjną i techniczną transportów (np. przygotowanie ciężarówek). W akcji uczestniczyło kilkudziesięciu najbardziej sprawdzonych i zaufanych funkcjonariuszy UB, z których część pracowała w jednostkach podległych WUBP w Katowicach, a niektórzy mogli być pracownikami urzędów bezpieczeństwa spoza regionu. Według złożonej po latach relacji Jana Zielińskiego, funkcjonariusza WUBP w Katowicach i PUBP w Cieszynie, przed operacją w katowickim urzędzie zorganizowana została specjalna odprawa z udziałem ściśłego kierownictwa i sowieckiego „doradcy”, a w samej akcji wzięło udział blisko siedemdziesiąt specjalnie dobranych i zaufanych osób. Uprzedzono je, że biorą udział w akcji specjalnej, toteż nie wolno im się było w tej sprawie kontaktować ani oddalać z miejsca zakwaterowania.

Podkomendnych „Bartka” wysłanych w pierwszym transporcie zabijali Sowieci – z tego, co pamiętał Zieliński, ich oddział liczył prawie czterdzieści osób. Według relacji mieszkańców Barutu również w miejscu likwidacji trzeciej grupy partyzantów stacjonował oddział żołnierzy mówiących po rosyjsku; prawdopodobnie tutaj i w poprzednich egzekucjach uczestniczył pododdział 64 Dywizji Piechoty Wojsk Wewnętrznych NKWD. Dlaczego żołnierze „Bartka” zostali zabici od razu, na miejscu, a nie schwytani i sądzeni np. w

procesie pokazowym? Być może decydujący wpływ miały tutaj możliwości organizacyjne i techniczne aparatu bez-pieczństwa. Możliwe, że przy wsparciu sowieckim łatwiej było dokonać masowego zabójstwa, niż przeprowadzić operację zatrzymania sporej liczby dobrze uzbrojonych osób. Eksterminacja, bez jakiegokolwiek postępowania sądowego, z punktu widzenia władz bezpieczeństwa była rozwiązaniem szybkim i, co najważniejsze, ostatecznym.

Kiedy Flame mógł zdać sobie sprawę z tego, że padł ofiarą strasznej w skutkach prowokacji? Z przygotowanego przez „kapitana Lawinę” pobytu w Gliwicach i Zabrze, gdzie poddany został leczeniu chirurgicznemu nogi, powrócił pod Baranią Górę po ok. dwóch tygodniach. Niewykluczone, że w tym czasie co najmniej raz na krótko wraz z Wendrowskim odwiedził swój oddział. W Gliwicach czuł się niepewnie i stąd też pod pozorem dopilnowania pozostałych transportów oraz zabrania złota, rzekomo ukrytego w górach, udało mu się powrócić pod Baranią Górę (choć Wendrowski próbował go jeszcze przez jakiś czas zatrzymać w mieście). Mniej więcej w tym czasie w kierunku zachodnim wyruszył ostatni, trzeci transport. Prawdopodobnie wówczas (lub kilka dni potem) do dowództwa zgrupowania dotarł ocalały z pierwszego wyjazdu Andrzej Bujok. Opowiedział, jak zginęli jego koledzy, nie był jednak w stanie wskazać, w pobliżu jakiej miejscowości doszło do egzekucji. Jego opowieść była tak szokująca, że partyzanci początkowo nie chcieli mu wierzyć i nawet potraktowali go jako prowokatora UB, na jakiś czas pozbawiając wolności w jednym z leśnych bunkrów. Gdy jednak od wysłanych rzekomo na Zachód kolegów nie dochodziły żadne wieści, powoli zaczęli wierzyć w wersję Bujoka.

Straszna prawda o losie żołnierzy dotarła również do samego dowódcy zgrupowania. Już po ujawnieniu się wiosną 1947 r. Flame podjął próbę odszukania w okolicach Barutu miejsca egzekucji swoich podkomendnych. Informacji dostarczył mu tamtejszy leśniczy, który wcześniej pracował jako gajowy na Baraniej Górze, i stąd Flame znał go osobiście. Według relacji Anny Szwedzkiej „Anuszek”, która towarzyszyła mu w czasie wyjazdu, „Bartek” po długim spacerze po lesie w okolicach polany Hubertus wrócił bardzo przejęty, ale nie podzielił się ze swą towarzyszką żadnymi informacjami. Transporty, w których zginęli najlepsi partyzanci „Bartka”, wyznaczyły praktycznie kres istnienia zgrupowania. Bez większych strat z całej akcji wyszedł właściwie tylko oddział „Sztubaka”, choć niektórzy jego podkomendni zdecydowali się na wyjazd na Zachód.

Likwidacja zgrupowania dowodzonego przez Flamego nastąpiła więc w wyniku gry operacyjnej UB, która polegała nie tylko na wprowadzaniu funkcjonariuszy i agentury do kierownictwa istniejących już struktur konspiracyjnych, ale jej istotą było tworzenie nowych, w pełni kontrolowanych przez władze bezpieczeństwa organizacji. Rozbicie oddziałów było ubocznym efektem znacznie szerszej gry operacyjnej MBP, prowadzonej przeciwko NSZ i innym strukturom konspiracyjnym podziemia antykomunistycznego. Doświadczenia zdobyte w czasie „operacji Lawina” UB niewątpliwie wykorzystał do przeprowadzania kolejnych działań wymierzonych w ludzi podziemia, o czym może świadczyć fakt, iż Henryk Wendrowski w następnych latach odegrał jedną z kluczowych ról w opanowaniu przez władze bezpieczeństwa krajowych struktur Zrzeszenia „Wolność i

Niezawistość". Akcja likwidacji zgrupowania „Bartka” uznana została przez kierownictwo MBP za wzór „umiejętnego wykorzystania agentów w sztabach organizacji”.

Artykuł ukazał się w książce autorstwa dr. Dariusza Węgrzyna, dr. hab. Adama Dziuby, dr. Tomasza Kurpiera:

*„Wypatrując Andersa. Konspiracja niepodległościowa w województwie śląskim 1945–1948”
(Katowice-Warszawa 2019).*